

 editored

SPROŚNE LISTY

AUTORKI BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”

**VI KEELAND
PENELOPE WARD**

Tytuł oryginału: Dirty Letters

Tłumaczenie: Tomasz F. Misiorek

ISBN: 978-83-283-6691-6

Copyright © 2019. DIRTY LETTERS by Vi Keeland & Penelope Ward

Amazon, the Amazon logo, and Montlake Romance are trademarks of Amazon.com, Inc., or its affiliates.

Cover design by Perfect Pear Creative Covers

Cover photography by Stefanie Renoma

Polish edition copyright © 2020 by Helion SA

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/sproli>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1.

Luka

O rany, znowu się zaczyna.

Popchnęłam wózek dalej do przodu, zamiast skrócić i ruszyć w dół sklepowej alejki, jak początkowo planowałam. Zrobiłam jednak tylko krok czy dwa i nie mogłam się powstrzymać. Cofnęłam się na tyle, że zdołałam się ukryć się za końcem półki, i wychyliłam głowę, by obserwować rozwój sytuacji.

Kobieta z niewiarygodnie kręconymi i pofarbowanymi na jaskrawą czerwień włosami odłożyła dezodorant w sztyfcie na półkę i sięgnęła po nowy. Zdjęła nakładkę, powąchała, po czym podciągnęła bluzkę z jednej strony i przejechała sztyftem pod pachą, a następnie powtórzyła tę czynność po drugiej stronie. Umieściwszy nakładkę z powrotem, przez chwilę przyglądała się zawartości półki i wybrała inną markę kosmetyku. Znowu zdjęła nakładkę, powąchała i przeciągnęła sobie sztyftem pod obiema pachami. Patrzyłam zafascynowana, jaka była przy tym poważna, testując w ten sposób sześć różnych dezodorantów w sztyfcie, zanim osoba z obsługi sklepu zauważyła, co robi. Gdy rozległ się krzyk i rozpoczął się wyścig wzdłuż alejki, uznałam, że to znak, by ruszyć tyłek i dokończyć moją wyprawę po zakupy.

Kilka miesięcy temu widziałam, jak mężczyzna *kosztował* tuzina pieczonych kurcząt. Każde rozpakowywał z folii, odrywał nóżkę, odgryzał słusny kęs i nadgryzioną kończynę wkładał z powrotem w korpus kurczęcia, zakrywając opakowanie. Gdy zwróciłam na to uwagę kierownicze sklepu, westchnęła tylko i zawołała do pracownika rozkładającego towar, by sprowadził pana Hammonda. Robienie zakupów o drugiej w nocy w całodobowym supermarkecie pozwalało spotykać naprawdę wyjątkowych klientów. *Pasowałam tu idealnie.*

— Jak się masz, Luka? — zapytała kasjerka Doris, gdy wyciągałam zakupy na taśmę. Pracowała w tym supermarkecie, odkąd zaczęłam tu przychodzić jakieś pięć lat temu. Naprawdę miła kobieta. Wiedziała, że ma dziewięcioro wnucząt i numer dziesięć jest w drodze. W ciągu dnia opiekowała się killkorgiem z nich i dlatego właśnie brała nocne zmiany. Doris była też jedną z niewielu osób, którym kiedykolwiek zdradziłam prawdziwy powód, z jakiego zakupy robiłam sześćdziesiąt kilometrów od domu w samym środku nocy.

— U mnie wszystko okej — odpowiedziałam. Doris zeskanowała opakowanie lukrecji, dwie tuby pringlesów i dwa pudełka z pakowanymi brownies. Nie były to moje standardowe zakupy, więc uznałam, że stosowne będzie udzielenie wyjaśnień.

— To zapasy na długą podróż samochodem, nie jestem w ciąży. Doris uniosła brwi.

— Podróż? To musi być coś wyjątkowego, jeśli chce ci się pakować do małego samochodu i ruszać w daleką drogę.

— Muszę zrobić porządek z mieszkaniem ojca na Manhattanie.

— Zmarł zeszłego roku, prawda?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

— Unikałam tego, jak mogłam. Wolałabym być poddana wodnej torturze, niż postawić stopę na maleńkiej wyspie o populacji liczącej osiem i pół miliona ludzi. Nie wspominając o godzinach spędzonych w aucie w korkach, tylko po to by tam się dostać. Czysta męka.

Doris wzdrygnęła się.

— Nie możesz kogoś do tego wynająć?

Mogłam. Zrobiłam to. Tylko że później moje własne poczucie winy i doktor Maxwell, mój terapeuta, razem sprawili, że zdecydowałam się zrobić to sama. Na tym jednak się nie skończyło, bo sam stres związany z myśleniem o wszystkich tych ludziach w Nowym Jorku sprawił, że przestałam sypiać i znowu wynajęłam firmę. Po czym odwołałam zlecenie. *Ponownie.* A potem wynajęłam inną firmę, bo było mi zbyt głupio, żeby odezwać się po raz trzeci do tej samej. I znowu odwołałam. *Umyć, wypłukać, czynność powtórzyć.* Aż skończył mi się czas i cóż, czeka mnie to jutro.

— To po prostu coś, czym muszę zająć się sama.

Doris spojrzała na mnie z autentyczną troską.

— Dasz sobie radę? Jeśli potrzebujesz kogoś, by z tobą pojechał, jestem świetną pilotką.

— Dzięki, Doris. — Uśmiechnęłam się. — To naprawdę wielkoduszne z twojej strony, ale mam kogoś do pomocy. Wyruszamy jutro wieczorem, żeby w miarę możliwości uniknąć korków.

Doris skończyła skanować moje zakupy i przeciągnęłam kartę przez czytnik. Zanim wyszłam, sięgnęłam do wózka i wyciągnęłam opakowanie ciemnych czereśni oraz ciasteczek Milano w ciemnej czekoladzie. Jak zwykle położyłam je przy kasie.

— Czereśnie są dla twoich wnucząt. A ciastka schowaj przed tymi potworkami.

Podziękowała.

— Bezpiecznej podróży kochanie. Nie mogę się doczekać, aż opowiesz mi, jak było.

Taaak, ja również. To będzie cholernie interesująca wycieczka samochodowa.

* * *

— Gdybyś pozwoliła, byśmy pojechali moim samochodem, mogłabyś się skupić na relaksacji. Mogłabyś posłuchać tych nagrań z ćwiczeniami oddechowymi, które ci dałem.

Spojrzałam na należącego do doktora wysłużonego cadillaca zaparkowanego na moim podjeździe. Ten facet w ogóle nie powinien nigdzie jeździć. Prawda jest taka, że był doskonałym przykładem tego, że ludzie po przekroczeniu pewnego wieku powinni zdawać dodatkowy egzamin, by utrzymać prawo jazdy. *Relaksacja* to ostatnia rzecz, do której byłabym zdolna, gdyby siedział za kółkiem. Poza tym wiedział, że potrzebuję panować nad sytuacją na tyle, na ile tylko to możliwe.

Uruchomiłam silnik, a mój pilot w staroświeckiej muszce podniósł do oczu lornetkę i spojrzał przez okno. Potrzebowałam nowego terapeuty, żeby poradzić sobie z tym, że uznałam za dobry pomysł, by pojechać na tę wyprawę z moim dotychczasowym terapeutą.

— Gotów, doktorze?

Skinął głową, nie opuściwszy lornetki.

— Nigdy nie odwiedziłem Wielkiego Jabłka. Nie mogę się doczekać tego, jakie gatunki ptaków tam spotkamy.

Potrząsnęłam głową.

— Gołębie, doktorze. Skrzydlate szczury. To je właśnie tam spotkamy.

Wyruszyliśmy w siedmiogodzinną podróż z Vermont na Manhattan. Pierwsze kilka godzin minęło bez niespodzianek, aż trafiliśmy w korek. Zaczęłam się pocić — dosłownie — i poczułam swędzenie w czubkach palców. *O nie. Nie, gdy prowadzę.* Strach przed nadchodzącym atakiem paniki był czasami niemal tak okropny jak sam atak. Serce zaczęło mi bić mocniej i poczułam zawroty głowy. Podczas ciężkich przypadków bywało, że wymiotowałam i naprawdę nie chciałam, by przytrafiło mi się to na autostradzie. Spontanicznie zdecydowałam się zjechać na pobocze, żeby uniknąć poczucia

bycia uwięzioną pomiędzy nieruchomymi samochodami. Gwałtowny manewr wybudził doktora Maxwella z drzemki. Podniósł głowę i złapał za uchwyt nad drzwiami auta.

— Co się stało? Co się dzieje?

— Nic takiego. Trafiliśmy na korek. Serce zaczęło mi walić i musiałam zmienić trasę.

Tylko doktor mógł się wydać uspokojony tym, co właśnie powiedziałam. Puścił uchwyt i odezwał się pogodnym tonem.

— Rozluźnij uścisk na kierownicy, Luka.

Spojrzałam na swoje dłonie. Knykcie były białe, a dalej na palcach kwitła czerwień. Posłuchałam go, bo choć mogłam nie ufać mojemu zwariowanemu doktorowi w kwestii prowadzenia samochodu, wiedziałam, że potrafi pomóc mi uniknąć ataku paniki. Skinęłam głową.

— Próbowałam techniki oddechowej. Najwyraźniej nie pomogła — poskarżyłam się.

— Powiedz mi, co teraz robisz.

Rzuciłam mu spojrzenie i znów skierowałam wzrok na pas awaryjny, po którym jechałam.

— Co teraz robię? Prowadzę!

— Nie. Powiedz mi, co zrobiłeś, gdy poczułeś nadchodzący atak paniki.

— Poszukałam drogi ucieczki? — Nie byłam pewna, do czego zmierza.

— Tak właśnie. Zjechałaś samochodem z jednej drogi na inną, na której czułaś się bezpieczniej. Potrafisz to zrobić. I w każdej chwili, jeśli tylko zapragniesz, możesz też zatrzymać samochód i wysiąść.

Skinęłam głową. Oczywiście, miał rację. To nie było tak, że potarzał rzeczy oczywiste. Przypominał mi, że to JA panowałam nad sytuacją i gdy poczułam, że tego potrzebuję, przejęłam kontrolę. Najdotkliwszą częścią moich zaburzeń lękowych był wszechogarniający

strach przed byciem uwięzionym. Właśnie dlatego unikam tłumów, korków, transportu publicznego i małych zamkniętych przestrzeni — ale potrafię spacerować ruchliwymi ulicami miasta. Przejęcie kontroli w celu znalezienia wyjścia z sytuacji pomogło zapanować nad lękiem.

— Weź głęboki oddech, Luka.

Wciągnęłam powietrze przez nos i powoli wypuściłam je ustami. Poczulałam chłód na skórze, co mnie nieco uspokoiło. Gdy zbliża się atak paniki, moja skóra staje się lepka od potu — pot na twarzy wiąże się ze skokiem temperatury ciała. Chłód oznaczał, że moje ciało wracało do normy.

— Opowiedz mi o twojej sobotniej randce.

Wiedziałam, że próbuje odciągnąć moją uwagę od sytuacji, sprawić, by mój umysł skupił się na czymś, co nie jest atakiem paniki, ale nie przeszkadzało mi to.

— Przyprowadził... *swoją matkę*.

Brwi doktora pojechały do góry.

— Swoją matkę?

— Aha. Na piknik, który dla nas przygotowałam.

Piknik w parku to był mój standardowy pomysł na pierwszą randkę, niezależnie od pogody. Dzięki temu unikałam zatłoczonych restauracji, ale zachowywałam dystans. Wybierałam piknik albo własne mieszkanie, a ostatni facet, którego zaprosiłam do siebie na kolację, założył, że chodziło mi o seks na pierwszej randce.

— Na litość, dlaczego wpadło mu do głowy przyprowadzić matkę?

Wzruszyłam ramionami.

— Powiedział, że wspomniał jej o naszych planach, a ona odparła, że jeszcze nigdy nie była w tym parku.

Właśnie tak kończy się bycie szczerą w stosunku do mężczyzn w kwestii moich problemów przed pierwszym spotkaniem. Ci, którzy się po tym decydują, to *dziwacy*. Ale też nie jest uczciwe

ukrywanie faktu, że nie potrafię pójść na randkę jak normalna dwudziestopięciolatka. Nie było wcale zaskakujące, że faceci szybko znikali, gdy opowiadałam im o sobie, używając takich słów jak „zaburzenia lękowe” czy „agorafobia”. Na skutek tego pozostała pula potencjalnych kandydatów była wyjątkowo marnej jakości.

Zorientowawszy się, że nasza rozmowa odciągnęła moją uwagę i pomogła powstrzymać nadchodzący pełnowymiarowy atak paniki, odparłam: — Tak w ogóle, to dziękuję. Już czuję się dużo lepiej. Teraz zjedziemy na ten pusty parking przed nami, wyjdę z auta i rozciągnę mięśnie.

Doktor uśmiechnął się, pamiętając, że joga była jedną z moich technik relaksacyjnych.

— Śmiało, dziewczyno.

Reszta podróży przebiegła nieomal w spokojnej atmosferze — nie licząc kilku objazdów i doktora rozmawiającego ze swoją *panią* przez komórkę, z głośnością ustawioną tak mocno, że słyszałam jej głos, gdy przypominała mu, żeby wykupił przepisaną viagrę.

Postarałam się zaplanować czas podróży tak, że dotarliśmy na Manhattan w środku nocy, unikając korków na tyle, na ile to było możliwe. Mieliśmy szczęście znaleźć miejsce do parkowania na ulicy, bo garaż podziemny to coś, czego nie miałam szans wytrzymać. Mój zaufany terapeuta miał nocować w hotelu, zaledwie pół przecznicy od mieszkania mojego ojca.

— Doktorze. Niech pan się obudzi. Jesteśmy na miejscu.

Ocknął się, najwidoczniej wyrwany z głębokiego snu, i poczułam się winna, że w ogóle go wybudziłam.

— Co, hę? O, dobra. Jesteśmy. Tak. Dobra.

Odprowadziłam go do hotelu i poczekałam przed recepcją, by się upewnić, że zameldował się bez problemów.

— Jeszcze raz dzięki, że przyjechał pan ze mną, doktorze. Niech pan zadzwoni rano, jeśli nabierze pan ochoty na śniadanie. Wiem, że jest późno, więc może raczej na lunch.

Doktor poklepał mnie po ramieniu.

— Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. O dowolnej godzinie, Luka. I pamiętaj, dałaś radę. Naprawdę sobie poradziłaś, jestem z ciebie dumny.

Wiedziałam, że mówił szczerze.

Choć przez ostatnie kilka godzin jazdy czułam już senność, gdy weszłam do mieszkania taty, nagle odeszła mnie wszelka chęć snu. To było najdziwniejsze na świecie uczucie: wejść do miejsca, w którym mieszkał, a w którym już go nie było. Odszedł na zawsze już rok temu — ale po stanie jego mieszkania nie można było tego stwierdzić. Pani Cascio, sąsiadka taty, zaglądała tu co kilka dni, przynosząc zawartość skrzynki pocztowej i generalnie pilnując, by mieszkanie nie zarosło pajęczyną.

Obeszłam wszystkie pomieszczenia i pootwierałam okna, bo świeże powietrze zawsze pomagało mi poczuć się mniej jak w klatce. Na półkach taty wciąż stały oprawione zdjęcia, których nikt nie ruszył od pięciu lat, czyli od śmierci mamy. Wzięłam do ręki małą srebrną podwójną ramkę. Po lewej było moje zdjęcie w mundurze harcerki, a po prawej ja siedząca na kolanach taty i zdmuchująca świeczki z urodzinowego tortu. Musiałam mieć ze sześć lat. Duża ramka z kości słoniowej okalała ślubne zdjęcie rodziców. Przesuwałam palcem po całej długości welonu mamy. Wszyscy powtarzali, że wyglądam jak ona, ale dorastając, nie potrafiłam dopatrzeć się podobieństwa. Teraz jednak byłam niczym jej obraz w lustrze. Trudno było mi uwierzyć, że oboje odeszli.

Na małym stoliku w jadalni leżał stos korespondencji. Zleciłam, by listy taty były przekazywane na mój adres, więc tu w większości leżały katalogi i tym podobne śmieci. Raz w miesiącu pani Cascio

wysyłała mi wszystko, co przyszło, choć powiedziałam jej, by się nie fatygowała. Bezmyślnie przerzucałam zawartość stosu, nie spodziewając się znalezienia czegokolwiek wartego uwagi. Zatrzymałam się jednak na kopercie zaadresowanej do mnie. A właściwie nie do mnie, a do Luki Ryan. To było nazwisko, którego nie słyszałam od dawna. W drugiej klasie moja nauczycielka, pani Ryan, zorganizowała wymianę listów z dziećmi z niewielkiego brytyjskiego miasteczka. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno nam było używać prawdziwych nazwisk, więc cała klasa używała jej własnego — byłam więc Luką Ryan.

Rzuciłam okiem na adres zwrotny, szukając nazwiska nadawcy.

G. *Quinn*

O, serio? To niemożliwe.

Zmarszczyłam brew, patrząc na znaczek. List został nadany z Kalifornii, nie z Anglii, ale nie znałam innego Quinna niż Griffin. Charakter pisma też wyglądał dość znajomo. Jednak od ostatniej wymiany listów minęło już prawie osiem lat. Dlaczego miałby pisać teraz?

Zaciekawiona, rozerwałam kopertę i spojrzałam na koniec listu, by sprawdzić imię. Oczywiście, był od Griffina. Zaczęłam więc od początku.

Droga Luko,

czy lubisz szkocką? Pamiętam, że pisałaś, że nie lubisz smaku piwa. Nigdy jednak nie mieliśmy okazji by porozmawiać na temat naszych preferencji co do czegoś mocniejszego. Dlaczegoż tak, mogłabyś zapytać? Pozwól, że Ci przypomnę — ponieważ przestałaś *odpowiadać* na moje listy bite osiem lat temu.

Chciałem, żebyś wiedziała, że wciąż jestem o to zły. Moja mama zwykła mawiać, że chowam urazy. A fakt

jest faktem, że jesteś *do bani*. Tak właśnie, dobrze przeczytałaś. Chciałem to z siebie wyrzucić już dawno.

Nie odczytaj tego źle — nie mam na Twoim punkcie obsesji ani nic takiego. Nie siedzę w domu, przemyślując bez przerwy na Twój temat. W istocie miały całe miesiące, a Ty nie zaprzętałaś mego umysłu. Czasem jednak, zupełnie bez przyczyny, przychodzą mi do głowy przypadkowe myśli. Na przykład widzę jakiegoś dzieciaka w wózku jedzącego lukrecję i pamięć o Tobie ożywa. Przy okazji — nigdy nie próbowałem jej ponownie w dorosłości, ale wciąż uważam, że smakuje jak podeszwa, więc może jednak to Ty nie masz gustu. Pewnie nie lubisz nawet szkockiej.

Tak czy owak, przekonany jestem, że ten list do Ciebie nie trafi. A jeśli nawet jakimś cudem trafi, to nie odpiszesz. Jednak, jeśli go czytasz, musisz mieć świadomość dwóch rzeczy:

1. Macallan 1926 jest warta swojej ceny. Gładko wchodzi.
2. Jesteś DO BANI.
Do widzenia, ślepa Gienia.
Griffin

Co u licha?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Historia miłosna, która rozpoczęła się od przyjaźni między dziewczyną i chłopcem, a rozkwitła, gdy nawiązali kontakt ponownie – jako dorośli ludzie...

Griffin Quinn był moim korespondencyjnym powiernikiem z dzieciństwa, angielskim chłopcem, od którego różniło mnie wszystko. Z biegiem lat, wraz z setkami napisanych listów, staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi – dzieliliśmy się najgłębszymi, najmroczniejszymi sekretami i zbudowaliśmy więź, która wydawała się niezniszczalna. Do czasu. Pewnego dnia wszystko się zmieniło.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, przyszedł kolejny list. Pełen wyrzutów i gniewu nagromadzonego przez osiem lat. Nie miałam wyboru i w końcu musiałam się przyznać, dlaczego przestałam odpowiadać na korespondencję.

Griffin mi wybaczył i po jakimś czasie udało nam się ożywić relację z lat dziecinnych. Z tym że byliśmy już dorośli i wszystko nabrało rumieńców. Nasze listy szybko stały się niegrzeczne, odkrywaliśmy w nich swoje najdziksze fantazje. Jedynym logicznym wyjściem z sytuacji wydawało się więc przeniesienie znajomości na kolejny poziom i spotkanie twarzą w twarz.


Tyle że Griffin wcale tego nie chciał. Uznał, że tak będzie dla nas najlepiej. Jednak ja musiałam go zobaczyć, więc wykonałam skok na głęboką wodę i zaczęłam go szukać. Przecież ludzie robili w imię miłości bardziej szalone rzeczy, prawda?

Ale to, czego się dowiedziałam, może zmienić wszystko...

VI KEELAND jest autorką bestsellerów ze szczytów list New York Timesa, Wall Street Journal i USA Today. Jej książki sprzedały się w milionach egzemplarzy, pojawiły na ponad stu listach bestsellerów i zostały przetłumaczone na 26 języków. Mieszka z mężem i trójką dzieci w Nowym Jorku, żyjąc „długo i szczęśliwie” z chłopakiem, którego poznała w wieku sześciu lat.

PENELOPE WARD jest autorką bestsellerów ze szczytów list „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today” w kategorii „romans współczesny”, ma na koncie przeszło 2 miliony sprzedanych książek. Napisała ponad 20 powieści, 21 razy jej książki osiągnęły status bestsellera „New York Timesa”. Dorastała w Bostonie z piątką starszych braci. Przez większą część trzeciej dekady swojego życia pracowała jako prezenterka telewizyjna. Obecnie mieszka w Rhode Island z mężem, synem i córką z autyzmem.

 **editio**red

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowości>

Hellon SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:
ebookpoint



ISBN 978-83-283-6691-6



Cena 39,90 zł